

Wychodzi co niedzielę jako bezpłatny dodatek do dziennika »Głos Narodu«.

Przedpłata na sam »Głos literacki i społeczny« wynosi rocznie 8 koron, półrocznie 4 korony, kwartalnie 2 korony.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI

Nr. 11. Kraków, dnia 17. marca. 1901.

BOGUSŁAW SERWIN.

HOMEROWA BAŚŃ.

Tajemniczo pędził Nil swoje ciemne fale. Płynął zdaleka — huczał po progach skalistych katarakt i pianę toczył białą. Potem już spokojnie rozlewał się w piaszczystem łożu. Tam tylko, gdzie spad był bystrzejszy, po wierzchołkach fali drżało światło księżyca.

W noc taką jasną, spokojną, dwoje ludzi stało na płaskim dachu. On z lutnią w ręku, śpiewak, bogom miły, słał dźwięki lutni w dal — i pieśń.

Przerwał — pieśń szła, potem zmięszała się z szelestem palm i znikła — tylko eter drżał lekko.

— Neitaker moja — rzekł nagle, jakby obudzony ze snu, — wiesz ty, skąd wzięły się te myriady gwiazd na niebie? Opowiem ci:

„W dawnych bardzo czasach, kiedy padło królestwo Saturna, a Zeus już bogom i ludziom królował, zerwała się straszna zawierucha walki

„Wesele"



Pod kościołem Maryackim podczas ślubu Lucyana Rydla z włościanką Jadwigą Mikołajczykówną.

Cisza się rozpostarła — wielka, uroczysta. Szept cichy słychać było. Niebo spowiadało się ziemi.

W cichość dźwięki lutni leciały smętne — leciały w dal i kładły się na piramid szczytach.

Czemu tak dziwne snują ci się pieśni? — spytała Neitaker. — Czemu w nich coś tak jęczy smutkiem?

Homer stał niemy, jak samotna kolumna zwalonej świątyni, zapatrzony w przestworza nieba, zasłuchany w szept ciszy nocnej.

synów ziemi przeciw władcy nieba. Ale bóg był silniejszy od zuchwałego pokolenia ziemi. Ziemia, matka ich własna, stała im się grobem. Po walce przyszła wielka i długa noc, bo Zeus chciał odpocząć. Ale z ziemi szły jęki, rzężenia powalo-

nych i płacz ich matek. Zeus piorunny spocząć nie mógł. Rzucił więc na ziemię ziarna ciszy nocnej. I jęki gigantów i płacz ziemi ucichł. — A z ziaren wyrosły kwiaty wielkie, błyszczące, i zawisły u niebios błękitnego sklepu.

Oparli się o siebie, a na usta siadł im duch milczenia. Nie chcieli zrywać błyszczących kwiatów ciszy, co rosły od nich zdala*.

Siedzieli — tymczasem Chronos pędził chyże konie, Parki nić przędły żywota, a Charon, omszały, siwobrody starzec, gromady cieni przewoził na zbutwiałej łodzi.

Po chwili Homer brzęknął w lutnię i znowu pieśń płynęła, pełna miłosnych drgnień i złego przeczucia i konała gdzieś daleko na piramid szczytach.

Pieśń ustała. Tylko jej pogłos płynął z falą Nilu na morze, a z morzem leciał daleko ku szczytom Parnasu, Hymnetu.

— Ja się •czegoś boję — szeptała Neitaker, tuląc się do Homera; — tam, patrz. tam przesunął się cień jakiś, potem zstąpił na dół. Księżyc przebieżał pół nieba — chodźmy.

Poszli. I zdawało się, że idą razem Apollo i Kiprys, z piany urodzona morskiej.

Miejsce po nich puste pozostało i pieśń. Kwiaty ciszy siały blask i spokój. Nil ciemne toczył fale. Ze szczytu nieba dwie gwiazdy leciały — a z niemi szczęście ginęło dwojga ludzi.

* * *

Tłum idzie. — Idzie różnobarwny i wije się wężem po drodze. Nad nim gwar cichy ulata — przytłumiony, a słońce patrzy nań krwawe, czerwone. Różowieją białe zawoje na głowach, lśni bronzem ciemna skóra. Wysoko nad tłumem chybocą się na długich drzewcach wielkie wachlarze strusich piór — podwójna, złocista korona jasnym razi blaskiem — tam Faraon Ramzes.

Tłum idzie, ale bez dźwięków lutni, bez pieśni. Idzie cichy, z bojaźnią w twarz groźną patrzy Faraona. — Gwar słychać, niby brzęczących much. Od Nilu lecą jakieś przyciszone grania śpiewne, — lud słucha — gwar milknie — śpiewają posągi Memnona.

Tłum stanął — przed nim dwa siedzą olbrzymy kamienne. Ponure twarze — a ręce ich sztywne na kolanach się wsparły. Zda się przedpotopowych ludzi dwa ciała, skamieniałe w ziemi.

Tłum milczy nieruchomy. Czasem tylko pchnie go ktoś od brzegu — wtedy morze głów się chyli, jak łan zbożowy, tchnieniem poruszony wiatru.

Pomiędzy posągi kamienne długa idzie ulica światła, czerwona od blasku krwawego słońca. Cienie się dłużą, olbrzymieją.

Zachwiały się wachlarze i podniosły w górę. Na tronie zasiadł groźny Faraon Ramzes.

Skinął — i stało się pusto koło tronu. Z tłumu na puste miejsce wyszły postacie, czerwoną odziane szatą. W pośrodku nich stał Homer, śpiewak bogom miły.

Powiał wiatr od Nilu i włosy mu rozwiał na czole, długie, lniane.

Zadźwięczały, zagrały posągi kamienne, a w muzyce ich poznał Homer swoją pieśń nocną, pieśń ciszy.

Faraon skinął — a ze stopni tronu ruszył się herold i głosem potężnym wyrok i wolę głosił władcy dwóch Egiptów:

„Srom ci i hańba, człowieku z obcych stron. Jak chytry wąż w łaskę się władcy wśliznąłeś. Jak wąż pełzałeś pod stopy przyczajony i jad sączyłeś wiarołomstwa w serce niewiasty.

„Srom ci i hańba, chytry jak wąż, Greku, żeś święte zgwałcił prawa gościnności. Niech cię bóg twój, Zeus zagrodowy, gromem nieszczęścia razi, niech ci zagrody nie użyczy stałej, a my ci odmawiamy i ognia i wody i ziemi.

„Niech wzrok twój nie ogląda już światła boskiego.

„Niech się robactwo gnieździ w pustych jamach oczu.

„A teraz, katy, czyńcie swoją powinność!“

Zadrżał helleński aoida, ostatni raz spoglądał w blask słońca.

Ludzie, czerwonemi odziani szatami, w kleszczowe wzięli go ramiona.

Zachrzęszczał nóż — zgrzytnął po kości.

Homerem wstrząsnął dreszcz straszny, śmiertelny. Potem zesztywniał z bólu i rozpaczy.

Z pustych jam ocznych spłynęły dwie wielkie perliste łzy i spadły na ziemię — a z nich szła skarga wielka na straszne bezprawie.

Dwa białka, u stóp jego leżąc, martwe na tłum patrzały. Krwawe słońce lizało promieniami krwawe jamy i piło z nich krew czerwoną.

To Helios czerpał krew i pędził do Zeusa ze skargą na Olimp. Smutnym dźwięczały dźwiękiem posągi Memnona. Ramzes na tronie siedział spokojny, powagą kamienną oblał swe oblicze. — W tłumie biła radość z twarzy jednego człowieka. — Był to Walmiki, indyjski śpiewak Ramajany.

Z Memfis leciał chyżo goniec żałobnej wieści.

Tłum rozchodził się posępny krwawem widowiskiem.

Pustka się stała, a na pustce rozłożyła swoje skrzydła — cisza.

U stóp posągów kamiennych siedział Homer, przy nim pacholę helleńskie.

Dłońmi zakrył twarz — siedział milczący, ogromem nieszczęścia zgnębiony.

Wysoko ciągnął klucz żórawi.

Łopot ich skrzydeł i krzyk obudził ślepca-śpiewaka z zadumy.

Podniósł się, palce położył na strunach gęśli i począł śpiew:

Hej, żórawie, wy czujne ptaki,
Dokąd lecicie?
Oj, lećcie ptaki,
O, wy szczęśliwe
I nieście skargę w Achiwów kraj!
Lećcie, żórawie, prujcie przestworza,
Słoneczny raj,
Lećcie nad lądy, lećcie nad morza,
W Achiwów kraj.
O, nie czekajcie, hej! lećcie ptaki,
Bo ja w powietrzne nie wzlecę szlaki,
W skrzydlaty nie pójdę tan:
Lecz gdy ojczyste zoczą was kraje,
Niech skargą dźwięczą srebrne ruczaje,
Niech skargą szumi zbożowy łan.
Bieguny nieba, ptaki szczęśliwe,
W słońca lecicie złocisty blask,
Ponad zieloną lecicie niwę,
Jutrzenki krasnej widzi was brzask.
I jasny promień myje wasze puchy,
Wichru wam dźwięczne śpiewają podmuchy,
Wieczysta nie trwoży noc.
Zazdroszczę wam ja, ślepiec bezdomny.
Bo na mnie zeszedł cień czarny, ogromny,
Żadna nie zbawi mię moc.
O słońce wielkie, bądźże pochwalone,
Że ludziom świecisz, chociaż mnie nie świecisz,
Nad gmachy dumy wschodzisz powalone
I nowe życie ogniem swoim niecisz.
O źródło życia, o dnia oko jasne,
W chmur nie zobaczę cię świetlanym wieńcu,
Gdy strzały promienne rzucisz wkoło krasne,
Lub gdy z Irydą w tęczowym rumieńcu
Pląsasz w obłokach, rosy pijesz ziemne
I błyski siejesz w oceany ciemne,
O słońce, bądźże doli mojej pomne,
O słońce święte, jasne i ogromne!

Słońce zaszło, pieśń roztopiła się w eterze. Lutnia poprzednio dźwięczała, a w pogłosie żal drżał bezbrzeżny. Od Nilu szedł powiew chłodny. Posągi pieśń swoją śpiewały, a pieśń leciała w cichość wieczoru ku kwiatom ciszy.

NA CZASIE.

Mój przyjaciel (każdy kronikarz ma zawsze pełno przyjaciół, niemal tylesamo, co wrogów), podał mi dzisiaj bardzo rozsądny projekt.

Wszedłszy mianowicie do mojej izdebki i obaczywszy przedemną próżny arkusz papieru z olbrzymim napisem »Na czasie«, wykrzyknął:

— Pewnie się tak biedzisz nad tem, jaką by czy siekankę przygotować swoim klientom na niedzielne śniadanie? Co? Hę?

Zawstydzony, że »biedzę« się nad tem, co powinno mi iść jak z płatka, usiłowałem zakryć rękawem nieszczęsny arkusz, wydając przytem nieartykułowany, twierdząco-powątpiewająco-zaprzeczający dźwięk:

— Houmm!

7 **MATCE RZECZYPOSPOLITEJ.**

POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA.

Ze starych dokumentów wypisał LUDWIK STASIAK.

Jeszcze raz zerwał się na nogi, aby gdzieś lecieć... gdzie? dokąd? Głód zaspokoić... Głód.

A! Boli, okropnie boli... ale to trudno... Pożarł mięsień własnego przedręcza... Przyszła gorączka, litościwa gorączka.

Nic prawie nie wie, nic prawie nie czuje, ból ustał. Mary snują się po głowie, Bóg wie co plącze się w gorączce. Jakiś człowiek wisi na powrozie wśród dzieci. Stał się wiśniowy, wątrobiany cały, trzepie nogami w powietrzu... a synek sięga rzucających się nóg ojca i woła: tatulu! tatulu...

Poszedł w ogień... Nad jeziorami słońce wschodzi, mgły plączą się wśród rozkosznych gór. Szmaragdy błyszczą w topieli, szmaragdy. Fiordy! Rodzinne fiordy! Słońce zbladło, fiordy zbladły, wszystko znika...

Człowiek już nie żył, ale serce biło. Bełkotało coraz rzadziej, coraz słabiej

Ostatni raz uderzyło w dwudziestym dniu...

* * *

Na rynku krakowskim ucieka w niebo maryacka wieża. Nad murami jej wisi wieniec wieżyczek, na wieżyczkach złote kule i blaszane chorągiewki. Nad złotemi kulami stromo strzela w górę dach, na którym rozparła się ogromna spiżowa korona. A nad koroną jest jeszcze dach, a nad dachem złota bania, a na bani stoi Maciek Sroka czeladnik kunsztu blacharskiego. Klepie pilnie młotem szczyty kuli, lutuje cyną szczerby, które w daszek wodę deszczową przepuszczały. Wziął w ręce mieszek, dmie w naczynie pełne ognia, a cyna spada kroplami jak żywe srebro na dziury w blasze i szpary przy daszku. Od czasu do czasu przystanie Maciek, popatrzy na świat boży. Cały Kraków pod nogami jego, nawet zamek królewski z Wawelem pod nogami. W dali sinieje puszcza niepołomska, na południe zaś bielutkie, śniegiem pokryte Tatry. Rzucił okiem na rynek, a tu gromada ludzi patrzy na niego, rękami się kłania i jego zuchwalstwu się dziwi....

Mieszczanom krakowskim ba! rajcom nawet pomieścić w głowie się nie może, jak mógł na złotą banię wyleźć człowiek, jak mógł poświęcić się na niechybną niemal śmierć.

Toć kosteczki z niego nie zostanie, gdy w przepaść zleci... Krwią swą pomaluje rój wieżyczek, mózg się rozpryśnie na prastarych murach.

Poznał Maciek, że o nim mówią, że jego admirują. Stanął na bani, zdjął czapkę z głowy i na całe gardło krzyknął:

Czołem, mości panowie! Czołem!

Usłyszano go, bo uchyliły się mieszczańskie czapki.

Bawiący wówczas w Krakowie, dziś oddawna w Bogu spoczywający król Władysław zobaczył ze swych komnat śmiałka, co na złotej bani wieży maryackiej broi. Polecił otworzyć zamkowe okno i śmiejąc się rzekł:

— A to zuch! A to rycerz! A to sprawa i rezolucya u tego pachołka! Co to za jeden?

Obecny przypadkowo jeden z rajców miejskich rzekł:

— Lutują dach wieży. Na banię wnijść się podjął jakiś blacharz z Bochni.

Król Władysław, który męstwo i odwagę nadewszystko cenił, dobył trzosa:

— Zanieście temu chwatowi pięć dukatów odemnie. Zacnym byłby towarzyszem w potrzebie, bo nie boi się śmierci zajrzeć w oczy.

Tymczasem Maciek zarzucił linę na żelazną kopię najwyżej chorągwi wieży, zawiązał jej koniec naokoło siebie, zabrawszy zaś mieszek i garnki, jął się spuszczać po gładkiej bani powierzchni. Za chwilę wisiał już w powietrzu nad przepaścią... i jak kot wsunął się w otwartą czeluść pochyłego dachu. Uwoinił koniec sznura, ściągnął go ze szczytów, zwinął wkoło i znikł we wnętrzu kościelnej wieżycy.

Odbywał wtedy wielki wander czeladniczy. Wyzwolony na docla, opuścił Bochnię, aby w świecie blacharskiej sztuce się przypatrzeć. Był w Wojniczu, Sączu i Tarnowie, potem ruszył do Warszawy i Krakowa, gdzie najtrudniejsze roboty wykonywał. Wydalony z powodu pobicia jakiegoś Niemca z Wrocławia, poszedł pieszo do Wiednia, gdzie kilka lat służył, a na odchodnem wbił obyczajem tamtejszym gwóźdź do drzewa zwanego Stock im Eisen. Wrócił do Bochni, której nie widział od lat kilka. Od czasu śmierci króla Władysława zmieniła się ogromnie.

W żupach bocheńskich i wielickich gospodarował długie lata jaśnie wielmożny Adam Kazanowski. Warszawski swój pałac siódmym cudem świata zrobił, w komnatach jego stały beczki ze złotemi obręczami pełne wina stały a na środku jadalni fontanna, kilka łokci wysoka, winem węgierskiem biła a „kto ochotny otwiera gębę“, podstawiając ją pod winną kaskadę...

Gdy w roku 1647. w dochodach żupnych dał się dostrzedz ubytek, a Kazanowski obraził się na króla, że ten komisyą z kilku senatorów złożoną, do dochodzenia przeniewierstw wyznaczył, odetchnęło górnictwo bocheńskie po ustąpieniu marszałka.

Nie wiedzieli, że z deszczu idą pod rynnę. Najintratniejszą kopalnię złota w Rzeczypospolitej urząd zawiadowstwa żupami, kupił za gotówkę Hieronim Radziejowski „wielkorządca krakowski“ i tu ohydnie gospodarować począł. Do kieszeni wiarołomców i złodziei niosła dochody święta polska sól...

Burzyło się mieszczaństwo z cicha.

W miastach tajnie zjawiali się obcy jacyś ludzie, nawołując mieszczaństwo do otwartego buntu. Do ratuszowej bocheńskiej piwnicy, dokąd się mieszczaństwo na piwo schodziło, przyszedł jakiś dostatnio i poczestnie ubrany człowiek, mieniący się być pisarzem miasta Gdańska. (C. d. n.).

„Wesele".



Włodzimierz Tetmajer z żoną i dziećmi

Rezultatem tych chlubnych usiłowań było prześliczne, nader wyraźne odbicie się napisu: »Na czasie« na rękawie mego surduta.

Mój przyjaciel spojrzał uśmiechnął się pod wąsem.

— Daremnie chcesz się zaprzeć tego co każdy spostrzedz musi odrazu. Zamiast niszczyć ubranie, rzuć pióro i słuchaj co ci powiem.

Zapalił cygaro i rozpoczął w te słowa:

— Dlaczego wy, gadatliwy naród kronikarski, łamiecie sobie głowy nad tem, jakby najlepiej zagrać w ciuciubabkę ze swoim czytelnikiem? Tyle już waszych paplanin — nie marszcz się bo wiesz, że się Ciebie nie boję — przeczytałem w swojem życiu, i mało która trafiła mi do przekonania. A wiesz czemu? Oto temu, że nie macie należytego węzła, któryby was łączył z czytelnikiem. Kronikarstwo to nie polityka, w której tajemnice wy wprowadzacie publiczność; to dział, który winien być odbiciem tego co waszych czytelników w zakresie spraw społeczno-literackich najbardziej może interesować.

Milczałem, czując, że ma zupełną racyę.

— Dlaczego zatem nie udasz się wprost do swoich cotygodniowych słuchaczy z zapytaniem: »Powiedzcie, moi państwo, o czem pragniecie być poinformowani w dłuższej pogadance? Czy nie macie jakiej kwestyi, której rozwiązanie mogłoby was bliżej zainteresować?« Ręczę ci, że twój apel nie pozostanie bez echa, stosując się zaś do życzeń swoich czytelników, wytworzysz między nimi a sobą pewien rodzaj magnetycznego węzła, który, raz zadzierzgnięty, rzadko się kiedy zrywa. No, cóż?

Zamiast odpowiedzi usiadłem do stolika i spisałem naszą rozmowę, jeżeli w ogóle czynność, podczas której jeden prawi kazanie, drugi zaś go słucha, można nazwać rozmową. Do was, szanowni czytelnicy, będzie należało dowieść, czy mój przyjaciel ma racyę, czy też myli się w swoich twierdzeniach.

Zanim wszakże otrzymam pierwsze listy z informacyami, pozwolę sobie sam wystosować do Was małą prośbę.

Oto chciejcie na początek naszych bezpośrednich stosunków, podzielić się ze mną tem, co wam wiadomo o jednej kwestyi, która mnie przynajmniej zawsze żywo interesowała.

Pragnąłbym mianowicie zebrać pewne dane o losie — kasyerek handlowych.

Niemal w każdym sklepie siedzi przy kasie taka panienka i dzień cały, z małą przerwą na obiad, wydaje »resztę« kupującym, zatyka machinalnie różne świstki na stalowy drążek, stojący przed nią i martwym, zmęczonym głosem wygłasza stereotypowe: »dziękuję bardzo!«

Wartoby też zbadać dokładniej los tych pracowniczek, przez których ręce przesuwają się codziennie setki, czasem tysiące; jakiem jest ich uposażenie, co za pensyę otrzymują i czy mogą z niej wyżyć?

Nie potrzeba nawet sentymentalnie roztkliwiać się nad ich losem, dopatrując się łzawemi oczyma u każdej »złamanego życia«, »śladów lepszego bytu,« lub »nieszczęść rodzinnych«, które »delikatne dziecko« zmusiły do ciężkiej pracy. Powody dla których ta lub owa panienka zasiada przy stoliku kasowym, nie powinny żadną miarą wchodzić tutaj w grę. Czy była przedtem w lepszych stosunkach i skutkiem ruiny majątkowej rodziców spadła aż do... pracy, czy też z nizin społecznych wzniosła się na swoje stanowisko, to już nie nas ma obchodzić. Praca zrównała je zupełnie ze sobą.

Szłoby wszakże oto, jakie wynagrodzenie otrzymują takie panienki za swoją robotę i jakie mają tej roboty warunki?

Osądźcie zatem, szanowni czytelnicy i czytelniczki, czy nie byłoby pożądanem gdybyście zechcieli podzielić się ze mną swoimi spostrzeżeniami w tym względzie? Mogłoby się to wiele przyczynić do rozświetlenia kwestyi, która, (jak wszystko co dotyczy niewesołych stron naszego życia społecznego) wymaga aby ją należycie oświetlić i wybadać.

Jeżeli kto z was posiada już zapas jakich spostrzeżeń w tym względzie, niech je spisze, włoży w kopertę i zaadresuje do redakcyi naszego pisma, dodając na kopercie »dla Pertinaxa« Każde zdanie, godne uwzględnienia, zostanie zanotowane i zaopatrzone odpowiednim komentarzem. Może być, że w tej wspólnej pracy uprzędzie się nitka jakiej zdrowej myśli, lub praktycznego pomysłu.

Zechciecie zatem uczynić zadość mej prośbie. Będzie to początkiem duchowego kontaktu w jaki, — według rady swego przyjaciela — pragnie wejść z wami wasz gawędziarz *Pertinax.*

„Senzacyjny dramat"

przez Leona Xanrof'a.

Sypialno - jadalno - bawialny pokój pisarza dramatycznego Dupont, stanowiący zarazem jego gabinet do pracy i palarnię. Pan domu znajduje się właśnie pod wpływem literackiego natchnienia, objawiającego się w ten sposób, iż dotknięty niem osobnik przebiera nerwowo palcami we włosach.

Naraz ktoś szarpie za dzwonek i do pokoju wpada nakształt wesołej bomby Granate Durand, współpracownik Duponta.

Durand (ściska nerwowo brudną dłoń swego współpracownika i zaczyna biegać po pokoiku Długie poły jego surduta podnoszą tumany kurzu w których krążą przestraszone mikroby.) Co za tryumf! Co za tryumf, mój drogi! To wspaniałe!

Dupont (rozjaśniając oblicze)! Czy mówisz o naszym dramacie: „Rozbijacz łbów"?

Durand: Tak, tak!... Wspaniałą miałeś myśl, aby wysondować opinię publiczną przed napisaniem naszego dzieła i dowiedzieć się, co też myśli o niem. W ten sposób będziemy przynajmniej pracowali, nie ryzykując straty czasu nad tematem, nieinteresującym nikogo.

Dupont: A co więcej, publiczność, kochana poczciwa publiczność będzie przy wykonaniu dzieła po naszej stronie, bo przecież już je przedtem poznała! Niech sobie krytyka wymyśla: nie zdoła zatamować łez publiczności, nie zdoła zdusić jej łkania, nie przeszkodzi, aby jej serce biło zgodnie z naszem!

Durand: Nie, nie potrafi! Mam już na to dowody! Nasamprzód mówiłem o „Rozbijaczu łbów" z moją żoną, było to wczoraj przy śniadaniu... Naturalnie nie powiedziałem jej, że to nasz pomysł, dramat, który pragniemy napisać...

Dupont: Toś dobrze zrobił; powiedziałaby zaraz, że to głupstwo!

Durand: Przedstawiłem jej całą rzecz jako świeże zdarzenie. Ach, mój drogi! Gdym jej począł opowiadać o porwaniu małej Adrienny, wiesz, tego trzymiesięcznego dziecka, które „Rozbijacz łbów" zabiera ze sobą uciekając przez dachy i które, widząc iż go ścigają, chowa do komina...

Dupont: (uniesiony) ...i zabiera je znowu stamtąd, gdy już go przestano ścigać.. Opuszczając dom, przechodzi z dzieckiem na ręku koło matki...

Durand: (rozgorączkowany) ...matka przypada, patrzy na swoje dziecko, pokryte sadzą i woła z rozpaczą: „Nie, to nie moje dziecko, to mały murzyn!!"

Dupont: Lecz cóż dalej?

Durand: (zaczyna znowu opowiadać): Moja żona zaczęła tak rzewnie płakać, że teściowa, usłyszawszy to, wpadła jak furya i wlepiła mi kilka policzków, myśląc że biję jej córkę!

Dupont: Ach, jak mnie to cieszy! Uszczęśliwiasz mnie swoimi słowami!

Durand: A cóż dopiero, gdym przyszedł do wielkiej sceny!... Wiesz,... tam, gdzie rozbijacz łbów, przywiązawszy nieszczęsne ofiary w nogach swego łóżka...

Dupont (błagalnie, z drżeniem): Mój drogi! proszę cię... nie przypominaj mi o tem!... Wprawdzie sam to wymyśliłem, ale ilekroć sobie o tem przypomnę, zmora mnie dusi!

Durand: Słuchaj! moja żona padła zemdlona na krzesło, teściowa na kanapę, a służąca na podłogę! (nieszczęśliwa słuchała pod drzwiami).

Dupont (z wzruszeniem) Wspaniałe!

Durand: (daje mu znak aby się wstrzymał). To jeszcze nie wszystko! przyszedłszy do siebie opowiedziały tę historyę portyerowi, jego żonie, wszystkim dostawcom i wszystkim pokojówkom z całego domu... Ach, przyjacielu! To było straszne!... Wszyscy popadli w szaloną trwogę, na myśl że mogą się spotkać z rozbijaczem łbów. Żona portyera wzięła listonosza za bohatera naszej sztuki i aż zasłabła ze wzruszenia; dostawcy obsługują swoich klientów z nabitymi rewolwerami: umieszczają je na szalkach u wagi, tam, gdzie się zwyczajnie kładzie ciężarki; dwanaście pokojówek straciło wczoraj służbę za to, że nie chciały iść same do piwnicy... parę zostało u swoich pań ale tam zawsze sam pan chodzi z niemi na dół.

Dupont: (tryumfująco) Co za wrażenie! Co za wrażenie!... Co prawda to i ja opowiadałem trochę...

Durand (w zamyśleniu): Słuchajno, Czyśmy przypadkiem nie zagalopowali się zbyt daleko w cynizmie i okropności krwawych popędów naszego bohatera?

Dupont: Cóż znowu! Wszakże trzeba zainteresować publiczność. Widzisz przecież, jakiśmy osiągnęli sukces samem opowiedzeniem tej historyi.

Durand: Cóż to dopiero będzie się działo po napisaniu i wystawieniu sztuki!

Dupont: Mamy pewnych najmniej 500 przedstawień.

Durand: Będziem milionerami!... (W tej chwili słychać z ulicy dwa wrzaskliwe głosy, które drą się coraz to donośniej i wyraźniej: „Nad-zwy-czaj-ny do-da-tek! Wie-czor-ne wy-da-nie! Tajemnicze morderstwo! Rozbijacz łbów! Krwawy zbrodniarz! Pięć centymów! Nad-zwy-czaj-ny do-da-tek!“ Obaj literaci pędzą na ulicę, przebijają się przez gęsty wał publiczności, która otacza już kolporterów i wracają bez tchu napowrót do mieszkania Dupont'a; tam połykają senzacyjny artykuł w którym zamieszczono najdrobniejsze szczegóły krwawej historyi, opowiadanej przez nich samych.

Durand (promienieje z radości): Widzisz, nawet prasa już mówi o naszym rozbijaczu łbów!

Durand: (czyta) „Wiadomości literacko-artystyczne — Tajemnicza sprawa, wprawiająca obecnie cały Paryż w stan niespokojnej ciekawości nie ujdzie zapewne uwagi pisarzy dramatycznych. Chcąc początkującym dramaturgom oszczędzić rozczarowania, zauważamy już teraz, że sztuki osnute przez nich na tym temacie, nie mogą mieć żadnych widoków wystawienia na scenie. Mocarze współczesnego teatru zawładnęli już tym aktualnym motywem, który im się zresztą z prawa należy; zapowiedziano nam właśnie ukazanie się „Rozbijacza łbów“ z pod pióra Wiktoryna Sardou, oraz sensacyjnego dramatu pod tym samym tytułem, napisanego wierszem przez Jean Richepin'a; Massenet zużyje ten senzacyjny temat na libretto do opery, a Feydeau i Bisson zrobią z niego wspaniałą farsę. Prócz tego Paul Bourget zamierza napisać o tem psychologiczny romans, podczas gdy zamiarem Zoli jest zainaugurować „Rozbijaczem łbów“ całą kilkutomową seryę powieści.“

Dupont i Durand (razem spoglądając na siebie ze zdumieniem i rozpaczą): A cóż my napiszemy!!!?

„Wesele“.



W. Tetmajerowa. L. Rydlowa.
Włodzimierzowa Tetmajerowa i Lucyanowa Rydlowa w gronie rodziny.

Durand: No i cóż?

Dupont: Olbrzymi sukces, stary przyjacielu... tam, naprzeciwko... u fryzyera...

Durand: (obserwuje z podziwieniem nie uczesaną głowę swego współpracownika). To ty chodzisz do fryzyera?

Dupont: Tak.... stołuję się u niego; jego żona wydaje prywatne obiady... skorzystałem zatem ze sposobności aby po obiedzie skoczyć na chwilkę do lokalu. Od trzech dni już mu opowiadałem o rozbijaczu łbów... Żałuj żeś nie widział twarzy klientów mego obiadodawcy! Rodzona matka by ich niepoznała.

Durand: Tak się zmienili ze strachu?

Dupont: Ale skąd. z blizn! Golarze ich krajali tak, że na jeden kwadratowy centymetr skóry wypadały po trzy cięcia!

Durand: I nie krzyczeli, nie wymyślali?

Dupont: (w ekstazie): Nic nie czuli ze wzruszenia! Zresztą żadne cięcie nie krwawiło, ze strachu krew ścięła im się w żyłach!!

Durand: To wspaniałe!

Dupont: Każdy z nich opowiadał potem tę historyę u siebie w domu, w biórze, w knajpie, i teraz po wszystkich rogach ulic stoją trwożne grupy, które pocichutku i trwożnie rozmawiają o rozbijaczu łbów.

Dupont (czytając niespokojnie artykuł): Ależ oni opowiadają całą sprawę tak, jak gdyby się naprawdę zdarzyła i wspominają nawet, że prefektura policyi wdrożyła już dochodzenia!

Durand: Brawo! Toż to będzie wrażenie gdy się ludzie dowiedzą, że to my, dwaj całkiem nieznajomi literaci, wynaleźliśmy rozbijacza czaszek wraz z jego przygodami. Powodzenie zapewnione. Jesteśmy sławni.

Dupont: Ale jakżeż to rozgłosić?

Durand: Całkiem prostym sposobem; poślemy wzmiankę do dzienników: pisz (dyktuje): Wielmożny panie redaktorze! Rozbijacza łbów przedstawiono panu zupełnie mylnie jako egzystującą na świecie osobistość; jak dotąd, jest on tylko bohaterem wspaniałego, niesłychanie sensacyjnego dramatu w 11 aktach a 38 obrazach, nad którym obecnie pracujemy. Niektóre szczegóły z treści naszej sztuki przedarły się niewytłomaczonym dla nas sposobem do publicznej wiadomości... tak! teraz musimy się zabrać do roboty, bo już jutro dyrektorowie teatrów zaczną błagać nas na kolanach...

Dupont: (wydając straszliwy okrzyk) Ach!!!

Durand (ze strachem): Co się stało?

Dupont (podaje mu gazetę omdlewającym ruchem ręki): Czytaj!

PULCINELLA.

Henry Lyonnet, literat francuski, zabrał się do spisania historyi najpopularniejszej figury teatru włoskiego, Pulcinelli, i w wielce interesującej książce pod tym samym tytułem, daje pogląd na cały szereg przedstawicieli tej maski, jakoteż wylicza teatry, na których się ukazywała i dotąd jeszcze ukazuje.

Pulcinellę, który jest wcieleniem neapolitańskiej wesołości i dowcipu, spotykało się na scenie teatru *La Cantina*, słynnego *San Carlino*, obecnie zaś w *Theatro Nuovo* w Neapolu.

Charakterystycznemi cechami tej maski są: sprytna, doraźna odpowiedź, naturalna mimika i łatwość improwizowania. Przy pomocy tego ostatniego daru Pulcinella wciąga w swoją rolę wypadki bieżące. Jednym z najlepszych improwizatorów tego rodzaju był Cammarano, który jeszcze dotychczas żyje w pamięci ludu pod imieniem Giamoli. Lyonnet opowiada o nim anekdotę, świetnie illustrującą swobodę życia neapolitańskiego w wieku ubiegłym.

Ówczesny król, Ferdynand IV. burboński, chętnie przysłuchiwał się przedstawieniom w *San*

25 lat na scenie.



Sobiesław Bystrzyński, artysta teatru krakowskiego, obchodzący 21 b. m. ćwierćwiecze pracy scenicznej.

Carlino. Pewnego wieczoru Cammarano dowiedział się, że król jest w teatrze, i że niedawno wrócił z polowania, na którem zastrzelił massę tłustych skowronków. Otóż w jednej scenie odgrywanej przez siebie komedyi, Cammarano-Pulcinella miał być schwytany przez żołnierzy. Sierżant, stosownie do roli, krzyknął:

— Chwytajcie tego nędznika!

— Jakto — odpowiedział Pulcinella, — cóż takiego zrobiłem, że mnie chcecie aresztować?

— Obraziłeś wysoką osobistość!

— Ja? Kogo?!?!

— Króla.

Na to Cammarano, zamiast, jak wypadało z roli, rzucić się na kolana i błagać o litość, krzyknął:

— Sango de na vufera!! (na krew żmii!!) A ja myślałem, że on teraz poluje na skowronki!

Wtedy z głębi loży odezwał się niski głos prawdziwego króla:

— Poszlę ci kilka. Cammarano, poszlę ci kilka!

Następnego dnia Pulcinella otrzymał cały kosz tłustych skowronków.

Wiktor Emanuel II-gi chciał również poznać Pulcinellę i udał się w tym celu do *San Carlino* w towarzystwie jednego z ministrów, lecz wówczas przedstawicielowi Pulcinelli zdawało się, iż król nie rozumie dyalektu neapolitańskiego i począł mówić po włosku. To niesłychane wykroczenie przeciw tradycyi stało się powodem niemałego oburzenia obecnych na spektaklu Neapolitańczyków.

Ostatnimi czasy, aktor neapolitański Eduardo Scarpetta utworzył nowy typ humorystyczny „Don Felice“, lecz prawdziwy Pulcinella żyje jeszcze w *Theatro Nuovo* w osobie Ginseppa de Martino. Pulcinella nosi zawsze swój tradycyjny biały kostyum, szerokie spodnie, bluzę ściśniętą w pasie z szerokiemi otwartemi rękawami z pod których widać czerwony trykot, białą czapkę pajaca i maskę z czarnej skóry. Przy ukazaniu się jego publiczność woła: „Maschera, maschera!“ Wtedy artysta zbliża się do rampy, zdejmuje maskę, aby pokazać publiczności swe oblicze i kłania się na wszystkie strony. De Martino jest człowiekiem średniego wzrostu, dość przysadkowatym; na twarzy jego spoczywa zawsze wyraz jakiegoś nieokreślonego smutku. Poprzednicy jego również odznaczali się melancholicznym wyglądem. Okoliczność tę należy przypisać używaniu przez Pulcinellę maski, pod którą twarz zostaje zawsze nieruchomą.

„DWA SUMIENIA“.

Rzymski sezon teatralny, nie obfitujący zbytnio w senzacye literackie, przyniósł nakoniec dzieło, które zwróciło na siebie ogólną uwagę nie tyle może oryginalnością treści, ile raczej dobrą budową sceniczną i paru świetnymi rolami.

Ermete Novelli, słynny tragik włoski, który grywał przez zimę w „Teatro Valle“, przechrzciwszy go uprzednio na „Casa Goldoni“ (dom Goldoniego“), wystawił tam „Dwa sumienia“, sztukę Girolama Rovetty, i odtworzył sam jednę z główniejszych postaci.

Sztuka Rovetty jest osnutą na tle życia artystów; szczęściem, powołanie bohatera nie ma nic wspólnego z treścią dramatycznych perypetyj. Andrea Morelli, poeta i malarz, posiadający przepyszne atelier nad brzegiem jednego z jezior szwajcarskich, utrzymuje od lat dwóch stosunek miłosny z niejaką Anną Stober. Widać jednak, że wdzięki pięknej Anny musiały się już opatrzeć synowi Apollina, skoro, po gwałtownej scenie, Anna opuszcza atelier, zapewniając, iż nigdy już nie powróci. Morelli, bynajmniej nie przerażony tą groźbą, wraca spokojnie do pracy.

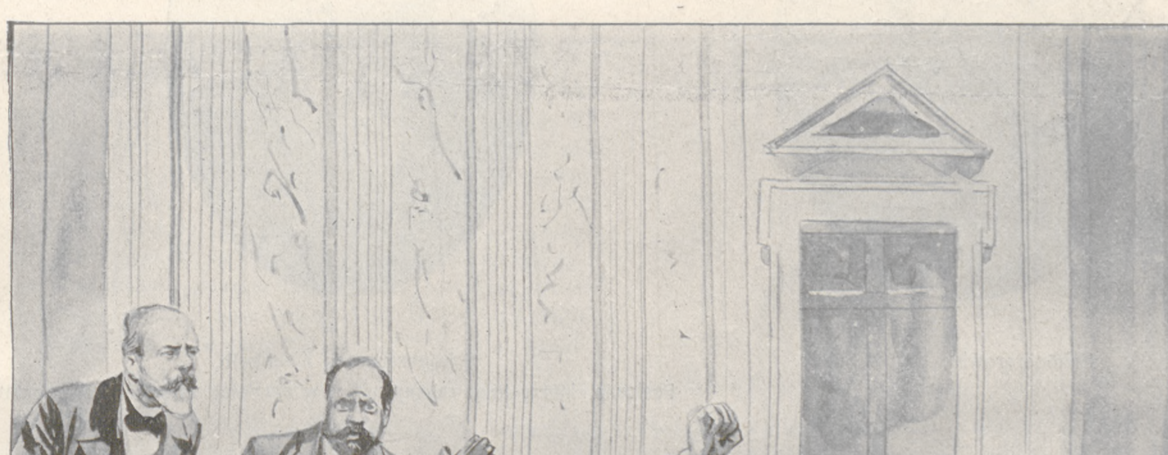
Nagle od strony jeziora dochodzi rozgwar zmięszanych głosów i w progach pracowni zjawia się Eliza Kennedy, młoda, piękna i bogata Angielka, ubóstwiająca po cichu Morellego. Wobec takich przymiotów jasnowłosej cudzoziemki dalszy rozwój akcyi byłby już całkiem do przewidzenia, gdyby nie ponowne zjawienie się Anny, która przynosi swemu kochankowi dość niespodziewaną dla niego i dla widzów wiadomość, że — ma zostać matką.

To odkrycie zmienia całkiem kierunek planów artysty. Głos sumienia budzi się w nim; po krótkiem wahaniu postanawia nie opuszczać matki swego dziecięcia. Daremnie Arcangeli, szwagier Morellego, usiłuje sprowadzić go z drogi obowiązku. Arcangeli jest kierownikiem zakładu wychowawczego i ma uosabiać hipokryzyę, zatruwającą współczesne życie towarzyskie i społeczne. Unika on złych czynów, ale tylko wtedy, gdy mogą wywołać — skandal. Małżeństwo Morellego z Anną zdaje się mu być czemś niesłychanem: wszak Anna ma za sobą burzliwą przeszłość! Niech Morelli raczej zostawi ją na pastwę losu, a sam niech spieszy w ramiona Elizy.

Lecz Anna nie chce tak łatwo dać się wyzuć z praw swoich. W wielkiej scenie pomiędzy nią a rzekomym Katonem, Arcangelim, poznajemy dokładnie jego charakter: okazuje się, że przed laty on sam miał z Anną stosunek, którego następstwem był syn, zmarły w międzyczasie.

Morelli dowiaduje się o tem w ciągu ostatniego aktu, lecz i to nawet nie jest w stanie wpłynąć na zmianę jego postanowienia. „Ty widzisz wszędzie tylko złe, skandal — mówi An-

Z austryackiego parlamentu.



Czeski narodowy robotnik Fressel, opadnięty przez Niemców.

drea do szwagra — i chcesz uniknąć wszystkiego, coby ci mogło zaszkodzić w opinii. Ja pragnę zgładzić swoje przewinienie, i w tem właśnie leży różnica pomiędzy twojem, a mojem sumieniem. My dwoje należymy do siebie na zawsze".

Tymi słowy, zwróconymi do Anny, kończy się sztuka.

na prawo i na lewo; za chwilę przybyli posłowie: Sehnal, Praszek, Kubr i Hruby i uwolniwszy ostatecznie Fressla z rąk synów Wotana, obsadzili schody wiodące do miejsca prezydenta i do ławy ministrów. Fressel nabił sobie olbrzymiego guza na czole, kark zaś miał zdrapany do krwi niemieckimi pazurami. Posiedzenie przerwano na 20 minut. Po zaczęciu obrad na nowo, prezydent hr. Vetter udzielił nagany... Fresslowi, aprobując w milczeniu zbójeckie napaści Niemców...

się liczni przyjaciele artysty, nawiedzający go w bronowickiem ustroniu, było zapewne powodem, dla którego Lucyan Rydel, zapragnąwszy wstąpić w ślady Włodzimierza Tetmajera, związał się węzłem ślubnym z uroczą siostrą żony przyjaciela, Jadwigą. Ślub młodej pary, który się odbył w kościele Maryackim w grudniu r. z. zgromadził na Rynku krakowskim tłumy ciekawych, mimo, iż dzień zaślubin był trzymany w jak najściślejszej tajemnicy przed szerszym ogółem. Z historyą tego małżeństwa, łączy się, jak powiadają wtajemni

Z austryackiego parlamentu.



Dr. Wacław Silenyi, młodoczech.



J. V. Klofacz, radykalista czeski.



Schönererowiec Franko Stein.



Schönererowiec Eisenkolb.



Baron Wasilko, Rumun.

Posłowie, którzy brali czynny udział w ostatnich zajściach parlamentarnych.

Nasze ryciny.

Według utartej już tradycyi posługują się członkowie wiedeńskiej Rady państwa, przy wyrażaniu swoich opinii o jakimś przedmiocie, nietylko narzędziami mowy ludzkiej, lecz i pięściami, nogami itp. argumentami *ad hominem*. Ostatnią z większych utarczek zapisały roczniki parlamentarne przed kilku dniami, a przebieg jej był następujący:

Prezydent Izby, hr. Vetter von der Lilie odebrał głos czeskiemu posłowi Zazvorce i rozpoczął odczytywanie z kartki nazwisk tych posłów, którzy zapisali się do dyskusyi nad przedłożeniem o poborze rekruta. W tejże chwili, czeski narodowy robotnik Fressl, podbiegłszy do przewodniczącego, wyrwał mu z ręki spis mowców i chciał odejść na miejsce, lecz nagle rzucili się nań hurmą niemieccy radykali. Hertzog i Bauer chwyciwszy Fressla za piersi, tak go odepchnęli, że tenże zatoczył się i padł na wznak na ławę ministeryalną wprost do rąk innych Niemców. Razy pięści posypały się teraz gradem na Fressla, który bronił się jak mógł przeciw odważnym Teutonom, napadającym w kilkunastu na jednego — usiłowania jego były wszakże daremne w obec liczebnej przewagi przeciwników. Na dobitek, w Izbie było podówczas bardzo niewielu posłów, bo część ich obiadowała w restauracyi, część zaś przebywała w kuloarach, nie było też i towarzyszy Fressla, którzy by mu pewnie odrazu dopomogli, uśmierzając niemiecką waleczność w jedynie właściwy sposób, tj. za pomocą pięści. Dopiero gdy wieść o bójce rozbiegła się po restauracyi i kuloarach, przybieżono Fresslowi na pomoc. Pierwszy zjawił się młodoczeski poseł König i wraz z p. Ratajem odciągnął Niemca Malika, który najwaleczniej bił trzymaną przez innych ofiarę, od Fressla, nie szczędząc przytem dosadnych argumentów w okolice żeber

Prócz tego epizodu rozgrywały się do niedawna codziennie różne malownicze i wielce budujące sceny między posłami poszczególnych narodowości. Czytelnicy znają już mniejwięcej przebieg tych awantur z pism codziennych, nie będziemy zatem zabierali im czasu szerokiem rozwodzeniem się nad każdą poszczególną burdą. Wystarczy wspomnieć, że każdy z posłów, których podobizny podajemy w dzisiejszym numerze miał po kilka zajść. Czech Silenyi ścierał się ostro z wszechniemcami: Franko Steinem i Eisenkolbem, promotorem słynnej swoją ohydą interpelacyi w sprawie Liguorianów. Wassilko nacierał na Polaków i o mało co nie popadł w srogą bijatykę z Fresslem, wreszcie Klofacz, radykał o potężnym głosie i bujnym temperamencie dał się dobrze we znaki prezydentowi ministrów Körberowi. Wogóle Izba jest dość głośną i wojowniczo usposobioną, aczkolwiek od czasu gdy wszechniemcy trochę się uspokoili, nie ma tak wstrętnych zajść, jakie bywały dawniej. Czescy radykali wprawdzie krzyczą i hałasują, lecz nie grożą swoim parlamentarnym kolegom nożami, jak to miało miejsce swego czasu ze słynnym warchołem Niemcem Pferschem. Najgłośniej zachowywali się podczas obecnej sesyi Czesi, najciszej Polacy, to też pierwsi zostali ukarani ustępstwami ze strony rządu; drugim zaś dostał się w nagrodę... order dla pana Jaworskiego: „Rząd sprzyja krajowi",..

Trzy ryciny, pomieszczone w dzisiejszym numerze łączą się z życiem dwóch członków artystycznego Krakowa. Jednym z nich jest znakomity artysta-malarz Włodzimierz Tetmajer, brat twórcy „Zawiszy Czarnego", drugim zaś Lucyan Rydel, poeta, autor „Zaczarowanego Koła". Jak wiadomo, Włodzimierz Tetmajer pojął za żonę włościankę, córkę gospodarza z uroczej wioski Bronowic wielkich pod Krakowem i mieszka na wsi, czerpiąc natchnienie do swych przepysznych płócien bezpośrednio z uroków naszej polskiej, wiejskiej przyrody. Ciche szczęście domowe, którego widokiem cieszą

czeni, najnowszy utwór sceniczny Stanisława Wyspiańskiego p. t.: „Wesele", który otrzymuje chrzest sceniczny na deskach krakowskiego teatru w chwili, kiedy niniejszy numer „Głosu literackiego" opuszcza prasy drukarskie. Malarz-poeta osnuł podobno wątek tej sztuki na tle życia w Bronowicach, wciągając w wir fantastycznej akcyi wszystkie osoby, znajdujące się w dalszych lub bliższych stosunkach z rodziną Tetmajera i Rydla. Jeżeli zważymy, iż każdy utwór Wyspiańskiego jest i tak w Krakowie literackim wypadkiem dnia, to łatwem jest do pojęcia, iż tym razem, gdy prócz rozgłośnego już imienia autora łączy się jeszcze ze sztuką pogłos aktualności — cały Kraków oczekuje z niemałem zaciekawieniem sobotniej premiery.

JUBILEUSZ ARTYSTY.

We czwartek teatr krakowski będzie widownią rzadkiej uroczystości. Jeden z najznakomitszych artystów polskich, p. Sobiesław Bystrzyński, ulubieniec krakowskiej publiczności, obchodzi w tym dniu jubileusz ćwierćwiekowej pracy w zawodzie scenicznym. Należy się spodziewać, iż „cały Kraków" pospieszy we czwartek do teatru, by uczcić prawdziwe zasługi jubilata, położone około polskiej sztuki dramatycznej, zwłaszcza że p. Sobiesław ukaże się tego dnia w jednej z najświetniejszych swoich kreacyi, w „Przyjacielu kobiet" Dumasa.

W dzisiejszym numerze podajemy czytelnikowi portret znakomitego artysty; krytyczną oceną

jego działalności scenicznej zajmie się środowy „Głos Narodu“. Zanim to wszakże nastąpi, pozwalamy sobie na tem miejscu przesłać p. Sobiesławowi serdeczne życzenia długiej jeszcze, a zawsze jednakowo chlubnej pracy na pożytek sztuki polskiej i krakowskiego teatru, którego znakomity i tak sympatyczny artysta od lat tylu prawdziwą jest ozdobą.

KRONIKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA.

LITERATURA.

* Znakomity publicysta p. Kazimierz Bartoszewicz wydał obecnie zbiór swoich fejletonów w kwestyi małżeńskiej, umieszczanych przed niejakim czasem w „Głosie Narodu“, uzupełniony i pomnożony „dziesięciorą Przykazań mężową“ Bartosza Paprockiego, skomentowanych w odpowiedni sposób. Całość nosi tytuł *„Kwestyonaryusz małżeński“* i jest, jak wszystko co wychodzi z pod niezrównanego pióra naszego znakomitego humorysty — przepyszna. Szczery, iście polski humor Bartoszewicza, podający ziarna prawdziwej mądrości życiowej w smacznej łupince dowcipu, błyszczy w *„Kwestyonaryuszu“* równie silnem światłem jak w poprzednich jego utworach. Zwolennikom prawdziwego humoru polecamy gorąco *„Kwestyonaryusz małżeński“* jako dziełko, mogące nawet hipochondryka pobudzić do zdrowego śmiechu.

* Ostatni zeszyt wybornie redagowanej *Biblioteki uniwersalnej*, którą wydaje Spółka wydawnicza Polska w Krakowie, zawiera oprócz powieści Abgar — Sołtana pt. „Nea“, dalszy ciąg studyów o emigracyi polskiej Ludomira Gadona oraz „Wspomnień z martwego domu“ arcydzieła Dostojewskiego.

* Czytając Jednodniówkę młodzieży, wydaną 22 stycznia r. z. przychodzi mimowoli na myśl — że jeżeli Mickiewicz o utworach Słowackiego wyraził się „że jest to świątynia, w której nie ma Boga“ — to o jednodniówce młodzieży możnaby powiedzieć „iż jest to świątynia, w której bogów jest zadużo“. Lecz trudno, tak być nawet musi, umysł młodzieńczy, niezdolny oprzeć się skutecznie wrażeniom, ogarnia je wszystkie, splata i wiąże w jeden łańcuch, miesza je może niejednokrotnie i zaciemnia co do przedstawienia treści, lecz za to podaje je w formie, wyzłoconej płomieniem wiośnianego uczucia, wysrebrzonej blaskami wiary w przyszłe losów koleje. Te cechy posiadają celniejsze utwory jednodniówki, te cechy nadają też dziełu temu prawdziwą wartość, jako właśnie wydawnictwu młodzieży, gdyż dowodzą, że zawarte tamże prace literackie, stworzyły umysły nie przesiąkłe przedwczesną sofisteryą, niezarażone prądami przesadnego dekadentyzmu. Stworzył je duch młody, który skrzydeł swych próbuje, duch, umiejący czuć i kochać!

W całem wydawnictwie przebija nuta patryotyzmu, akord apoteozy męczeństwa narodu polskiego, akord rzewny i smutny, czasami jednak dość silny, by nie minąć bez wrażenia.

Wydawnictwo zasługuje bezsprzecznie na uznanie i poparcie.

* Nakładem spółki wydawniczej w Krakowie, wyszedł z druku tom pierwszy „Studyów i szkiców z dziejów cywilizacyi“ profesora uniwerstytetu Jagielońskiego, p. Maryana Sokołowskiego. Jest to szereg studyów, w różnych latach pisanych (od 1876 do 1889), drukowanych poprzednio w rozmaitych przeglądach i dziennikach, a odnoszących się przeważnie do archelogii sztuki. Całość autor podzielił na trzy działy. Pierwszy obejmuje Starożytność i wieki średnie (austryackie poszukiwania archeologiczne w Azyi Mniejszej. Z podróży na Wschód — wazy greckie w naszych zbiorach — z archeologii klasycznej u nas. Zbiór gemmoglyptyczny Muzeum Narodowego w Krakowie. (Restauracya Sukiennic); drugi: Włochy i odrodzenie (Wspomnienie o Rafaelu): Urbino i Perugia. Wielka rezydencya i wielki ród: Palazzo Colonna w Rzymie (Gołuchów). Trzeci: Bizancyum i Ruś (Bizantyńska i ruska kultura średniowieczna. Badania archeologiczne na Rusi Galicyjskiej. Sztuka cerkiewna na Rusi i Bukowinie). Wszystkie te rozprawy, z których te, które dotyczące Rusi i nas, są bardzo interesujące, przyozdobiono licznemi ilustracyami. Dzieło pana Sokołowskiego jest pisane jasno, przejrzyście i jest wybornym podręcznikiem, że tak powiemy, pewnych działów historyi i archeologii sztuki. Wydanie bardzo staranne.

* Od lat kilkunastu Abazia na pobrzeżu Adryatyku, stała się miejscowością, do której corocznie jeździ na wypoczynek wielu krakowian z powodu doskonałych w tej miejscowości kąpieli morskich i wybornego powietrza. Nie od rzeczy więc będzie poinformować jadących, iż w tych dniach księgarnia Alfreda Höldera w Wiepniu (Rothenthurmstrasse, 15) wydała przewodnik po Dalmacyi, ułożony przez Reinharda E. Petermana, a przetłómaczony na język francuski przez hrabinę Maryę Harrach. Wydawnictwo to wyszło pod epidą Towarzystwa opiekującego się interesami królestwa Dalmacyi, co daje rękojmię, iż szczegóły w książce zawarte są wiarogodne. Książka jest ozdobiona 150-u ślicznemi rycinami roboty Fischera, oraz kilkunastu mapkami. Na końcu jej znajduje się słowniczek najbardziej używanych wyrazów w językach: francuskim, serbsko-chorwackim, włoskim i niemieckim. Ponieważ druk jest wyraźny a format dogodny, więc ta książka może być używana jako wyborny przewodnik dla chcących odbywać wycieczki po tak pięknym jak Dalmacya, kraju.

TEATR i MUZYKA.

* Dwieście listów Verdi'ego, nieznanych dotąd a napisanych przez zmarłego kompozytora w latach od 1847 do 1887 do najbliższego przyjaciela, hrabiego Anivabene, wyjdzie wkrótce z druku, dzięki staraniom profesora Luzio. Listy te, pisane szczerze i otwarcie, zawierają podobno najskrytsze zapatrywania Verdi'ego i sądy o wybitniejszych ludziach współczesnych, zarówno ze świata artystycznego jak i politycznego.

* Kradzieże partytur operowych. W sądzie karnym w Medyolanie rozegrał się w tych dniach proces, z powodu wykrytej przed kilku tygodniami kradzieży partytur w znanym zakładzie wydawniczym Sonzogna. Okazało się, że oficyaliści jego sprzedawali scenom zagranicznym partytury oper, które on kupował na własność, skutkiem czego poniósł znaczne straty. Na ławie oskarżonych zasiedli zwierzchnik archiwów firmy wydawniczej Sonzogna, kapelmistrz Artur Pirani, służący Smaghi, szewc Magnoni i jego żona, która pod nazwiskiem Elwiry Sgargi udzielała lekcyi fortepianu i śpiewu. Magnoni, krewny Pirani'ego, urządził sobie w r 1896 w domu Sonzogna, bez wiedzy, warsztat szewski i „pożyczał“ od dyrektora archiwów partytury dla swojej żony. W mieszkaniu jego znaleziono kilka centnarów (?) nut, które, jak zapewniał przed sądem, kupił jako makulaturę; żona, pani Sgargi-Magnoni, zapewniała, że o pochodzeniu tych nut nic nie wie. Sąd skazał Pirani'ego i Magnoni'ego na trzy lata i 4 miesiące więzienia, panią Sgargi-Magnoni na rok i trzy miesiące więzienia, a służącego Smaghi'ego uwolnił. Nadto oskarżeni skazani zostali na zapłacenie kosztów sądowych, osobny proces zaś będzie przeprowadzony o odszkodowanie.

LOGOGRYF.

Z poniżej zamieszczonych sylab ułożyć 19 wyrazów tak, aby początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły imię sławnego poety polskiego.

Sylaby:

ar—kse—za—ty—no—i—to—czy—se—stein—font—ru—szy ma—ra—gen—son—les—me—bzu—ni—zy—dykt—ri—kuck za—wół—dyś—ir—e—niec sza—ci—in—o—nes—i—ro—ry zo—ka—da—dy—ń—ge—o—na—ki—ge—dolf—dek—ty—munt—ter—ce—zyg.

Znaczenie wyrazów:

1) Historyk grecki.
2) Kraina w Ameryce.
3) Poeta polski.
4) Dolina w Alpach.
5) Sekta protestancka.
6) Miasto w Azyi.
7) Jezioro w Szwajcaryi.
8) Osada w gub. radomskiej.
9) Część nasienia roślinnego.
10) Dopływ Wisły.
11) Góra z grupy Fichtelgebirge.
12) Mieszkaniec gór kaukazkich
13) Mędrzec grecki.
14) Imię męzkie.
15) Klątwa kościelna.
16) Spółgłoska.
17) Kapłani Buddy.
18) Miasto na Węgrzech.
19) Bogini egipska.

»PSUBRATY«.

Powieść na tle stosunków współczesnych.

CZĘŚĆ DRUGA

(Ciąg dalszy).

Finländer znowu uśmiechnął się. Przez chwilę oglądał pierścionki na palcach swojej ręki, potem jednak podniósł głowę, spojrzał bystro w oczy prezydentowi sądu i odparł cichym głosem:

— Ośmioletnie więzienie, które przebyłem, zawdzięczam wyłącznie tej szatańskiej kobiecie.... Niech to panu prezydentowi wystarczy, jako rękojmia, że władza może na mnie liczyć.

Prezydent skinął głową na znak, że mu to wystarcza. Zwrócił się następnie do Froscha:

— Pan nie odstępowałeś ani na krok Finländera od chwili, kiedy mu pokazałeś fotografię?

— Ani na krok, panie prezydencie, stosownie do otrzymanego rozkazu.

— Dają tu o panu w liście z Tryestu bardzo chlubne świadectwa. Jakież losy rzuciły pana aż tak daleko?

— Byłem cieślą. Za pracą wyemigrowałem z kraju do Bośni, potem do Dalmacyi. Tu przypadek zrządził, że pomogłem policyi wyśledzić pewnego mordercę, a to tylko dlatego, ponieważ umiałem lepiej od włoskich urzędników po serbsku, po kroacku i słoweńsku. Zaproponowano mi miejsce w tajnej policyi w Tryeście; przyjąłem tę posadę i dosyć ze mnie byli zadowoleni.

— Pan objawiłeś zamiar przeniesienia się do nas na stałe. Jeżeli pan nam zdołasz skutecznie pomódz w sprawie, o którą idzie, zapewnię panu u nas dosyć dobre źródła dochodu.

— Dziękuję panu prezydentowi. Proszę o rozkazy, a będę się z nich starał wywiązać jak najlepiej.

— Rozkazy da panom pan sędzia śledczy. Proszę się do niego udać. Żegnam panów.

Frosch i Finländer wyszli na kurytarz sądowy wraz z służącym, który ich prowadził do biura sędziego śledczego.

Sędzią śledczym dla sprawy, w której pomocnymi mieli być przywołany z Tryestu ajent Frosch oraz były więzień karny Finländer, był radca sądowy Towarski, uchodzący za jednego z najbardziej doświadczonych i wytrawnych urzędników sądowych. Towarski, chudy, kaszlący, w czarnych okularach i z czarną brodą, nie był sam w biurze; przy jego biurku siedział, pilnie przeglądając akta, młody człowiek, z pięknym blond wąsem, w mundurze urzędnika policyi. Opodal protokolant temperował ołówki.

Po kilku wstępnych pytaniach i wyjaśnieniach, sędzia poprosił Froscha, aby wraz z komisarzem policyi udał się do drugiego pokoju, ponieważ chce urzędowo przesłuchać Finländera jako świadka i ściągnąć z niego protokół.

Komisarz skorzystał ze sposobności, aby wyjaśnić Froschowi, jakie będzie miał zadanie.

— Wiesz pan pokrótce — mówił, — że idzie o bigamię, jakiej się dopuściła żona tego człowieka, którego pan przywiozłeś. Ale to jest tylko uboczna strona całej sprawy. Tu idzie o rzeczy tysiąc razy donioślejszego znaczenia. Kwestya bigamii jest jasna i mogliśmy wcale Finländera nie sprowadzać. Wystarczyłoby nam protokolarne przesłuchanie Finländera w Tryeście. Dowodów mamy tyle, że moglibyśmy aresztować bezzwłocznie winowajczynię. Natrafiliśmy na ten szczegół tylko ubocznie, śledząc za wielkiem oszustwem, wielką kradzieżą publicznego grosza, fałszerstwem ksiąg i bilansów, bankructwami wielkich instytucyj, wywołanemi sztucznie przez jakąś tajemniczą bandę świetnie zorganizowanych oszustów.

— W więzieniu mamy — mówił dalej komisarz — bierne narzędzia tych oszustów: dyrektorów, buchalterów, kasyerów, urzędników, którzy potrochu kradli sami, widząc, że ich do tego zachęcano i upoważniano, ale w gruncie rzeczy wyznaczeni byli tylko na ofiary w krytycznej chwili. Badając nici niewidzialnych machinacyj, z przerażeniem dostrzegliśmy, że kłębek ich krył się w domu człowieka, na którego charakterze nie ciąży ani cień zarzutu...

— Człowiek ten, otoczony w całym kraju czcią niezwykłą, dający przykład żelazną pracą, obywatelską ofiarnością, zupełnem wspomnieniem o sobie, prawie bezgranicznem poświęceniem się dla sprawy publicznej, zajmujący jedno z pierwszych stanowisk w kraju — sam dotknięty został najstraszniej tą całą katastrofą finansową. Był milionerem, obecnie uratuje może zaledwie kilka tysięcy, może zupełnie nic. Nie zawahał się ani chwili, aby oddać wszystko co ma, tym, btórzy przez ruinę instytucyi przez niego powołanych do życia zostali w czemkolwiek pokrzywdzeni. A jednak... jego pióro kładło podpis na najbardziej karygodnych fikcyjnych dokumentach, w jego prywatnem mieszkaniu dokonywano najbardziej zbrodniczych manipulacyi, jego nazwiskiem, jego rozkazem, jego przyzwoleniem, jego namową tłómaczą się zgodnie wszyscy więźniowie, między którymi więcej jest ludzi nieszczęśliwych i słabych niż przewrotnych...

— Zaczęliśmy śledzić, dochodzić, badać, kto mógł go nadużyć, kto się fałszywie nim zasłaniał, kto mógł stać po za nim... Ani śladu. Książę Czarotyński do wszystkiego się przyznał, okazując przy tem tyle idealizmu, tyle dobrej wiary, tyle siły przekonania w to, że tylko fatum stało się powodem nieszczęścia, iż sami ulegaliśmy chwilami urokowi jego argumentów i potrzeba było wysilać trzeźwość rozumowania lub wyjaśniać na nowe coraz to bardziej przekonywujące o wielkiem oszustwie poszlaki, aby się nie dać zbić z tropu. Wśród tego przyszło nam na myśl zbadać, kim jest żona księcia, owa egzotyczna Amerykanka, której nigdy nie widać ani w teatrach, ani na wyścigach, ani na balach i która nie utrzymuje żadnych stosunków towarzyskich. (c. d. n.)

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Kazimierz Ehrenberg.**